CENA 30 GR.

BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI

TYGODNIK ILUSTROWANY

ROK VII. WARSZAWA, 6 LUTEGO 1938 R. Nr. 6 (245)

Tadeusz Teslar

Z dziejów Wyprawy Kijowskiej*

Wielkie te hasła — *pokój czy wojna* — już same w sobie zawierały ogromną ilość materiału propagandowego. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wojna, pochłaniająca krew i życie ludzkie, pociągająca za sobą upadek gospodarczo - finansowy Polski — czy Rosji, mogła się stać i tu, i tam niepopularną. Jeśli jednak wojna trwała, wymagały tego niechybnie wielkie konieczności. W wojnie tej Polska zdobywała swą przyszłość. Ten ważny problem propaganda bolszewicka usiłowała zniekształcić i sfałszować.

Na dowód, kto właściwie chciał wojny, propaganda sowiecka przytaczała same kłamstwa. Ani tu pomogło współdziałanie dyplomacji sowieckiej, ani noty pokojowe, ani propozycje pertraktacyj itp. akcesoria, używane przez główne dowództwo czerwonej armii, aby winę zwalić na Polaków. Bezsporną winę Rosji przypieczętowały m. in. oficjalne protokóły sowieckie, stanowiące zarazem pierwszorzędny materiał historyczny, dotyczący nastroju politycznego, jaki istniał w Sowietach w okresie po zajęciu przez Polaków Kijowa [1]). Na razie zatrzymamy się tylko na bardzo ciekawym ustępie z przemówienia Sokolnikowa [2]), dowódcy 8 armii sowieckiej, który po zdobyciu Noworosyjska przybył do Moskwy na posiedzenie historycznej „rady o wojnie z Polską".

Słowa Sokolnikowa rzucają nowe światło na polityczno - wojskowe zagadnienie — jeszcze nawet po dziś dzień poruszane w Polsce dla rozmaitych celów partyjnych przez przeciwników działalności Józefa Piłsudskiego — Sokolnikow bowiem stwierdza, że wyprawa Naczelnego Wodza na Ukrainę na wiosnę 1920 była koniecznością [3]). Jednocześnie daje nam to wyrok potępiający Rosję i służy jako odpowiedź na perfidnie wysuwane przez propagandę bolszewicką hasła o konieczności zawarcia z Rosją pokoju, którego Polska nie chciała wówczas zawrzeć, jakoby w nadziei na możliwość „zduszenia państwa robotniczego".

Skoro wywiad wojskowy dawał Naczelnemu Dowództwu polskiemu elementy, wyjaśniające charakter przygotowań operacyj ofensywnych przeciwko Polsce na wiosnę 1920, to wystarczało to temu dowództwu do powzięcia planu uprzedzenia ofensywy rosyjskiej i podięcia dalszych kroków wojennych, wyłączało natomiast rokowania pokojowe. *Jednakże były to elementy niedostępne dla opinii zagranicznej i wewnątrz kraju. Okoliczność tę wyzyskała umiejętnie propaganda rosyjska i za pośrednictwem bolszewickich organów partyjnych prowadziła jak najnieprzychylniejszą dla Polski agitację, zatajając przed opinią świata prawdziwe powody wojny.* Dopiero gdy oprzemy się na politycznych materiałach sowieckich, na szczerych wynurzeniach wyższych dowódców i głównych polityków Rosji sowieckiej, którzy w murach Kremlu nie potrzebowali się obawiać podsłuchu zagranicy lub komentarzy o właściwej sytuacji wojennej i politycznej Sowietów — zagadnienie potrzeby pokoju czy konieczności dalszej wojny z Rosją sowiecką staje się zupełnie jasne.

Sokolnikow, gdyby mógł przewidzieć, że słowa jego w świetle historii odsłonią kiedyś prawdę o pokoju i wojnie z Rosją, może by wówczas tak szczerze się nie wypowiedział. Również gdyby to rząd sowiecki był przewidział, nie dopuszczonoby do ogło-

*) Wyjątek z książki Tadeusza Teslara p. t. „Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko - rosyjskiej w 1920 r.". Książka ta wkrótce wyjdzie z druku nakł. W. I. N. O., Warszawa.

[1]) Sprawozdanie stenograficzne zjednoczonego posiedzenia Centralnego Komitetu Wykonawczego Moskiewskiej Rady Delegatów Robotniczych, Związków Zawodowych i Komitetów Fabrycznych z 5 maja 1920.

[2]) Tamże.

[3]) Porównaj studium gen. T. Kutrzeby „Wyprawa kijowska 1920", Warszawa, 1937.

szenia stenogramu z posiedzenia „rady o wojnie", nawet jako materiału propagandowego, najbardziej Polsce szkodzącego i przeciwko wojsku polskiemu wymierzonego.

Sokolnikow, chcąc wywołać nastrój antypolski na radzie 5 maja 1920 i podkreślić bezwzględność działań polskich, stwierdził, że Polska wiedziała co robi uprzedzając ofensywę rosyjską. Wypowiedział zaś to w następujących słowach:

„Dlatego powiedziałem, towarzysze, że nie bez racji dowództwo polskie na nas napada, że nie bez racji śpieszy zadać nam cios, zanim... przerzucenie i uporządkowanie naszych armij osiągnie całkowity skutek"...

„...jeśli armia polska teraz znajduje się w lepszych warunkach od naszej, to jednak ta przewaga bodaj czy nie będzie mogła się utrzymać na czas dłuższy"...

Sokolnikow mówił dalej o zarządzeniu przez sowieckie dowództwo przerzucenia z Syberii i Kaukazu na front polski wielkich sił sowieckich, zwolnionych tam po rozbiciu armii Kołczaka i Denikina. Właśnie między innymi ciągnęły ku Polsce z Kaukazu liczne pułki wielkiej armii konnej Budiennego. Ponieważ jednak armie rosyjskie po zwycięstwach na Syberii i Kaukazie były przemęczone i musiały wypocząć oraz potrzebny był pewien określony czas na przetransportowanie tych świeżych sił rosyjskich na front przeciwpolski, cały wysiłek propagandy sowieckiej i dyplomacji rosyjskiej szedł po linii zyskiwania na czasie, tak bardzo potrzebnym dla celów operacyjnych czerwonemu dowództwu. *Zadanie więc taktycznej rozgrywki wojennej, pod nieobecność potrzebnych sił rosyjskich, dla podjęcia ofensywy przeciw Polsce spełniała tymczasem propaganda komunistyczna na rzecz pokoju z Rosją.*

Józef Łobodowski

Zapoznana strona zagadnienia

(Odpowiedź Nr. 12 na ankietę)

Jak rozwiązać zagadnienie polsko - ukraińskie? Człowiekowi, jako tako zorientowanemu w sytuacji, nie trudno dać odpowiedź na papierze, trudniej wszakże rozwiązywać sprawę w czasie, gdy krótkowzroczna i zaślepiona niechęć do każdego rozwiązania, które by nie było regulowane na drodze wskazanej przez narodowe egoizmy, zaplątuje sytuację coraz bardziej i pogarsza ją w sposób zdecydowany z każdym rokiem. Bo jednak nie ma co się łudzić! Jedynym sukcesem, jakim może pochwalić się nieliczne bardzo grono prasowych socjuszy, stojących na wspólnym stanowisku wobec zagadnienia ukraińskiego, jest pewne rozprowadzenie wiadomości o faktycznym stanie rzeczy wśród elity publicystycznej. I na tym koniec. Poza tym 99,9% całego społeczeństwa polskiego tkwi w starych narowach myślenia i pod wpływem, nieuzasadnionych najczęściej, alarmów prasy nastraja się coraz bardziej antyukraińsko.

Co gorsza, wzrost takich nastrojów da się zauważyć przede wszystkim na terenach bezpośrednio objętych granicami zagadnienia. Kresowe społeczeństwo polskie znalazło się dziś na wyraźnych manowcach ideologicznych, wspomniane zaś już i określone, jako niesłuszne, alarmy o cofaniu się polskiego stanu posiadania mają uzasadnienie o tyle, że istotnie pod względem p s y c h i c z n y m jesteśmy w depresji i defensywie. Defensywa ta wynikła nie z czego innego, jak właśnie z przesiąknięcia fałszywą i jałową pod każdym względem teorią wyłącznego autochtonizmu polskiego na ziemiach południowo - wschodnich.

Nie można przecież budować codziennego życia na fikcji, ani na zaprzeczaniu elementarnych praw, obowiązujących w dziedzinie imponderabiliów narodowych i kulturalnych. Najzupełniejszy brak wyczucia rzeczywistości, ignoracja historyczna, zapoznawanie własnych historycznych i kulturalnych tradycyj ukrainistycznych, wreszcie nadęta i nie mająca nic wspólnego z rzetelnym patriotyzmem megalomania nacjonalistyczna, nie racząca zauważyć faktu, że ów „Rusin" też jest na swój własny sposób patriotą — oto grzechy główne, które stanęły u źródła dzisiejszej „zakowyki" w stosunkach polsko - ukraińskich.

Jesteśmy gospodarzami w swoim państwie! — oświadcza dumnie ten i ów, tak jak gdyby tego rodzaju oświadczenia nie rozumiały się same przez się. Jesteśmy w y ł ą c z n y m i gospodarzami na kresach! — twierdzą ciż sami. To już trzeba zaprotestować. Ukraińcy na naszych ziemiach kresowych nie są ani elementem napływowym, jak żydzi np., ani sublokatorami. Są po prostu współgospodarzami. Oczywiście, zrozumiała przewaga polskości wynika tu z tego prostego faktu, że owe ziemie nie wiszą w próżni, ale są częścią składową Rzeczypospolitej Polskiej, tym niemniej zasada pozostaje zasadą.

Odrzucenie tej zasady, czyli utrzymania wojny w permanencji z Ukraińcami, ba, zaostrzenie jej do ostatnich granic, wymagać będzie zaabsorbowania olbrzymich ładunków narodowej energii w walce z urojeniami; urojeniem jest bowiem wynarodowienie parumilionowego odłamu wielkiego narodu, czy choćby tylko trwałe utrzymanie go w stanie narodowej indeferencji.

Przyjęcie zaś wymagać będzie możliwie najszybszego wyciągnięcia wszelkich konsekwencyj realnych. Jak to mianowicie ma wyglądać, czy, jak chcą jedni, powinna nastąpić autonomia terytorialna, czy też rozstrzygnięcie przyjdzie na jakiejś innej drodze, to już rzeczy dalsze, które dadzą się zawsze uzgodnić. Przede wszystkim jednak chodzi o przyję-

cie zasady, dziś na każdym kroku całkowicie ignorowanej i nieuznawanej.

Trudno po raz tysiączny i pierwszy powtarzać wszystkie argumenty, które podpierają słuszność wyłuszczonej zasady i konieczność jej przyjęcia. Zarówno w toku samej ankiety, jak i przed tym na łamach „Biuletynu" sprawy te poruszane były dostatecznie wyczerpująco i bodaj aż za często. (Cichym dramatem publicysty polskiego jest fakt, że musi swoje argumenty powtarzać w nieskończoność, a i tak jest to rzucaniem grochu o ścianę!). Trudno więc dorzucić coś istotnie nowego i świeżego, co nie byłoby przeżuwaniem słów i wypowiedzi tak dobrze znanych, że gdzie indziej, w społeczeństwie o większej kulturze czytelniczej, dawno musiałyby być uznane za truizmy.

Jednakże, zarówno ankieta aktualnie będąca w toku, jak i większość wypowiedzi w tym kierunku idących dotyczy głównie politycznej strony zagadnienia, z pewnym zlekceważeniem kwestyj kulturalnych, łączących się ściśle z obchodzącymi nas zjawiskami.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że istotna normalizacja stosunków polsko-ukraińskich wymaga jak najdalej idącego zbliżenia obu narodów na polu wymiany kulturalnej. Co więcej, zlikwidowanie najbardziej ropiejących zadrażnień w dziedzinie politycznej może ulec przyspieszeniu w związku z ową wymianą. Wzajemny kontakt kulturalny odegrałby tu na pewno rolę w wielu wypadkach nie tylko łagodzącą, ale wręcz decydującą.

Określono nie dawno, że istota zagadnienia polsko-ukraińskiego mieści się w problemie rozszerzenia granic Zachodu w kierunku wschodnim i objęcie ich zasięgiem wszystkich ziem ukraińskich. Jest to zagadnienie z jednej strony polityczne i militarne nawet, z drugiej strony jednak mieści się całkowicie w dziedzinie idei kultury. W tych warunkach koniecznością nie podlegającą dyskusji jest wzajemne zbliżenie kulturalne, zbliżenie, które szybciej i skuteczniej rzuci między nami mosty prawdziwego zbliżenia i stworzy atmosferę, umożliwiającą rzetelne i sprawiedliwe usunięcie z rzeczywistości wszelkich obustronnych uraz, zadrażnień, uprzedzeń, sporów o miedzę i pretensyj.

Doprawdy żal i gniew chwyta, gdy się pomyśli, jak straszliwie nieprodukcyjnie marnowano czas przez tyle lat niepodległości. Odgrodzono się wzajemnie chińskim murem, nie chciano widzieć, co się dzieje u sąsiada. Pisma codzienne zasypywane były tysiącami reportaży z Rosji Sowieckiej, o Ukrainie zawsze było głucho. Czytelnik polski po dziś dzień nie wie dosłownie nic o narodzie ukraińskim, ani o jego kulturze i sztuce. Rok rocznie na półkach księgarskich ukazywały się stosy przekładów z literatury rosyjskiej, o Ukraińcach wciąż było cicho. Utrudniano wszelkimi sposobami (i nadal jest to samo) dostęp młodzieży ukraińskiej do polskich uniwersytetów, rozgoryczając ją i pchając w objęcia O. U. N. W rezultacie nie dopuszczono do zawiązania się bliższego kontaktu i wymiany w dziedzinie kulturalnej, rezygnując w ten sposób z wciągnięcia w orbitę oddziaływania polskiej kultury szerokich mas młodej ukraińskiej inteligencji.

Zapomniano wreszcie o polsko - ukraińskich tradycjach kulturalnych. Uznano w milczeniu wszystko to, co zaborca rosyjski w tej dziedzinie zdążył uczynić. Nie pokuszono się o przerzucenie nad ostatnimi laty mostu, prowadzącego dobrze znanym, starym szlakiem ku romantycznym, czy jeszcze starszym władysławowskim i batoriańskim tradycjom. Polska kultura współczesna nie uważała za potrzebne nawiązywać do tamtych, żywych przecie jeszcze idei.

To wszystko dziś mamy do odrobienia. W tym tkwi sedno rzeczy. Bo cóż ostatecznie z tego przyjdzie, że aktualny rząd da się przekonać w jakiś sposób i zabierze się na serio do normalizacji stosunków polsko - ukraińskich. Tych spraw nie można załatwiać wyłącznie na drodze ministerialnego rozporządzenia, nadającego taki, nie inny kurs. Znamy zresztą i takie wypadki, kiedy poszczególni starostowie prowadzą politykę na własną rękę, każdy w inny sposób, a wszyscy razem inaczej, niż urząd wojewódzki. A przy tym rządy zmieniają się i to, co wczoraj było zasługą, jutro może być grzechem. Toteż sprawa ruszy na prawdę z miejsca z chwilą, gdy wielka idea kulturalnego współżycia obu narodów i ścisłego zahaczenia ich interesów politycznych wejdzie nam w krew, gdy potężna koncepcja strukturalna przegrodzenia Europy na pół od morza do morza pomostem polsko - ukraińskim rozogni nareszcie ospałą naszą wyobraźnię i stanie się celem i dążeniem pokoleń.

Zawodowy opozycjonista zauważy, że naród polski tu nie decyduje wyłącznie, że inicjatywa powinna iść również od strony ukraińskiej. Otóż, zacząć jednak musimy i możemy tylko my. Wynika to zarówno z naszych możliwości kulturalnych, jak i sytuacji odmiennej, a o tyle lepszej, że posiadamy własne państwo.

*

* *

Stworzenie wielkiego bloku od Bałtyku po Czarne Morze można opierać na zasadach geopolitycznych, można obliczać, co każdy z narodów wchodzących w skład takiego bloku będzie miał do zyskania, a co do stracenia. Nie ulega przecież wątpliwości, że interes polityczny i historyczny poszczególnych narodów nie może tu odgrywać roli wyłącznej zaprawy murarskiej, trzymającej budowę w całości. Oczywiście, nie wolno uprawiać niepoczytalnego mistycyzmu historiozoficznego i usuwać z pola widzenia tamtych, kardynalnych przecie, spraw i zagadnień.

Tym niemniej, pamiętajmy, że wszelkie mechaniczne łączenie, nie ożywione afirmacją wspólnej idei i wytworzeniem, zróżniczkowanego narodowo, przecież najogólniej biorąc, wspólnego typu kulturalnego, jest prędzej czy później skazane na zagładę. Dlatego też, walcząc o realizację tych celów, które sobie wszyscy socjusze spod znaku czynnego prometeizmu stawiają, na platformie polityczno - społecznej, nie wolno zapominać o fundamentalnym obowiązku respektowania aspektów kulturalnych zagadnienia.

Zanim więc rzecznikami tej idei staną się katedry uniwersyteckie i programy szkolne, zanim świadomość wielkiej mocarstwowej na zaiste gigantyczną skalę roli zacznie przenikać do umysłów i serc z ła-

mów dzienników politycznych, z trybun w salach odczytowych i radiowych głośników, trud cały spada przede wszystkim na młode pokolenie polskich pisarzy i publicystów. Jeśli ich młodość jest istotna, to znaczy legitymująca się nie metryką, ale żywym, twórczym i ostrym widzeniem rzeczywistości, jeśli nie zatracili jeszcze zdolności psychicznego i duchowego kontaktu z wstrząsami tego typu, które zadecydowały, że pierwszym wieszczem narodu ukraińskiego, jeszcze przed Szewczenką, był Słowacki, jeśli słowa o służbie, niesionej wobec narodu, nie mają być czczą deklamacją tylko, ale istotnym wczuciem się w powołanie historyczne Polski, jeśli ten przełom duchowy, o którym ostatnio tak wiele się mówi i pisze, nie jest legendą jedynie — wówczas losy owej idei w ich rękach znaleźć się muszą.

Obyż to nie były urojenia fantasty!

Dr Włodzimierz Kołpaczkiewicz

Na granicy wieków

(Dokończenie).

Oto główne wytyczne tej nowej teorii: (Dr Hlebowicki: „K tieorii wozniknowienija Ruthenen - Kluba", „*Haliczanin*" 1927 z 8 (21)/6.1907). ...„Podzielając tę historyczno - socjologiczną tezę, w myśl której małorusskie plemię uważane jest tylko za odmianę („raznowidnost") narodu russkiego, uważamy Małorosów, na równi z Wielkorusami i Białorusami, tylko za etnograficzno - kulturalną gałąź jednego wielkiego narodu russkiego. Przy tym uważamy za nieodzowne oświadczyć, że, przyjmując terminologię, ustaloną przez niemiecką teorię prawa międzynarodowego i ogólno - państwowego (zgodnie z poglądem uczonych, członków „Institut du droit internationale" w Paryżu) — nie nazywamy Małorusów, w ich zbiorowości, narodem (Volk), lecz tylko narodowością małoruską (Kleinrussischer Volksstamm).

Licząc się z drugiej strony z rzeczywistym stanem rzeczy i z wymaganiami życia, przyznajemy plemieniu małorusskiemu prawo do jego rozwoju kulturalnego, z tym jednak ograniczeniem, aby ten rozwój nie był podtrzymywany i zwrócony przeciw reszcie świata russkiego — jako produktu duchowej twórczości całego narodu russkiego, lecz aby płynął obok niego, powiększając rozmaitością swą ogólny kulturalny dorobek całego narodu russkiego."...

Rzecz jasna, że naciągana i pełna wewnętrznych sprzeczności (jedność narodowa Rusinów z Moskalami i prawo Rusinów do samodzielnego rozwoju, jako oddzielnego narodu), przy tym niezrozumiała dla szerokich mas teoria nie mogła nikogo zadowolić i musiała bardzo prędko stracić swą aktualność. Czuje to sam dr Hlebowicki i pokornie apelując do „społeczeństwa" czy „narodu" o wydanie przez mężów zaufania ostatecznej decyzji w sprawie jedności narodu russkiego, obiecuje być jego woli powolnym.

Położenie posłów rusofilskich w parlamencie wiedeńskim było nie do pozazdroszczenia. Cała dyplomacja i polityka narodowościowa menerów partii staroruskiej i jej dziennikarzy polegała na zręcznym żonglowaniu wyrazu „russki" i używaniu go według potrzeby raz w znaczeniu „rosyjski", to znów „małoruski", „rusiński" czy „ukraiński". Chodziło o to, aby z jednej strony zaszczepić wśród ludności miejscowej pogląd o tożsamości pojęć „ruski" w znaczeniu „rosyjski" i „ruski" w znaczeniu „rusiński", „ukraiński", a z drugiej strony zataić ten stan rzeczy przed czynnikami najwyższymi w Wiedniu i utrzymać je w błędnym mniemaniu, że członkowie stronnictwa rusofilskiego uważają się za naród odrębny od Rosjan (Moskali), ściślej — za taki sam, jak Ukraińcy, gdyż w języku niemieckim oznaczają się nawet nazwą tą samą co i tamci: „Ruthenen".

Gra taka w kraju była łatwa, gdyż *pojęcia te do dziś dnia nie są jeszcze dla wielu Polaków jasne i terminologia nie jest ustalona.* Inaczej jednak było na terenie Wiednia. Tu ekwilibrystyka słowna okazała się wręcz nie do pomyślenia wobec jasności pojęć i ścisłości terminologii niemieckiej w sprawach narodowościowych. Termin „russisch" w znaczeniu przynależności do narodu, który był twórcą i włodarzem potężnej państwowości własnej, nie mógł w żaden sposób poplątać się z pojęciem terminu „ruthenisch", służącego do oznaczenia narodu, mieszkającego na terytorium Austrii, podczas gdy resztę tego narodu, mieszkającego w Rosji, oznaczano w niemieckim języku nazwą „kleinrussisch", rzadziej „ukrainisch", przy czym nie wchodzimy w to, czy taka różnoraka nomenklatura była naukowo, historycznie i filologicznie uzasadniona. Jeszcze raz zaznaczamy, że pojęcie „russisch", obojętne czy z przyczepką „klein" albo „gross", czy też bez żadnej przyczepki, równocześnie ze znaczeniem narodowościowym miało także znaczenie przynależności państwowej, podczas gdy pojęcie „ukrainisch" oznaczało tylko narodowość.

Posłowie rusofilcy znaleźli się więc między młotem a kowadłem, między presją ze strony menerów partii w kraju, wśród których pierwsze skrzypce grał dr Dudykiewicz, a stanowczą reakcją przeciw temu zarówno ze strony czynników politycznych w Wiedniu, jak również i większości członków i sympatyków partii w kraju.

Cesarskiego cięcia dokonał i węzeł gordyjski przeciął, zanim jeszcze do zjazdu mężów zaufania partii przyszło, poseł dr Markow. Konkretne cele i minimalne postulaty partii wówczas były następujące: *wywalczenie uznania języka rosyjskiego za język „potoczny", „krajowy"* („landesübliche Sprache") *oraz zdobycie dla tego języka, jako „krajowego", prawa obywatelstwa „de facto" i „de jure", zatem wprowadzenia go do szkół i urzędów.* Poseł Markow przedsięwziął próbę osiągnięcia tego, że tak powiem, drogą kontraband, stwarzając „fait accompli". Oto w dniu 9.7.1907 r., kiedy obradom parlamentu przewodniczył nie sam prezydent, Niemiec, dr Weisskirchner, lecz jeden z wiceprezydentów Czech, dr Żaczek, poseł Markow, licząc na rusofilskie nastawienie Czechów, wniósł w pewnej mniej ważnej sprawie interpelację poselską, *którą począł wygłaszać w języku rosyjskim.* Zawiódł się jednak w swych rachubach. Dr Żaczek odebrał mu głos, motywując swój krok tym, że język, w którym poseł Markow przemawia, nie jest „landesüblich".

Wydarzenie to było niezwykłe, bez precedensu. Zdarzało się nieraz, że w parlamencie jakiś poseł zaczynał dla demon-

stracji przemawiać w języku ojczystym, nie niemieckim, po czym dalej już przemawiał po niemiecku, gdyż chodziło mu o to, aby być zrozumianym przez posłów innych narodowości. Ale zawsze był to język faktycznie gdzieś w granicach państwa będący w użyciu. Nigdy jednak nie było wypadku, aby ktoś przemawiał w języku, którego *nigdzie w granicach państwa ludność nie używała*. W Austrii zaś, oprócz kilkuset rodzin Moskali, osiedlonych na Bukowinie, ludność *nigdzie* nie używała języka rosyjskiego, jako potocznego. Zaczęła to czynić tylko garstka młodszej inteligencji rusofilskiej, a sam oficjalny organ partii staroruskiej, „Haliczanin", gdy o wydarzeniu tym pisał, był najwymowniejszym zaprzeczeniem potoczności („der Landesüblichkeit") języka rosyjskiego w b. Galicji, gdyż dawał jedynie jego potworną *parodię*.

Stanowisko dr Żaczka podtrzymał rząd wiedeński. Pisemne interpelacje posła Markowa, wniesione później, *również w języku rosyjskim*, pozostały bez odpowiedzi. Rząd zwrócił się do sławnego uczonego slawisty, prof. Jagicza, z zapytaniem, w jakim języku napisane zostały interpelacje. Prof. Jagicz orzekł, że jest to język *„par excellence grossrussisch"*. (Donosi o tym sam dr Markow („Haliczanin" 25.12.1907).

Tymczasem nadszedł dzień 15 lipca 1907 r., dzień zjazdu mężów zaufania partii staroruskiej, na którym miała się objawić „wola ludu", a „opinia publiczna" miała zadecydować, czy posłowie staroruscy mają pozostać we wspólnym z Ukraińcami „Ruthenen-Klub'ie", czy też z niego wystąpić i w taki sposób zadeklarować, że są innymi niż Ukraińcy narodem — Rosjanami. Tę „wolę ludu" i „opinię publiczną" miały zabezpieczyć trzy tak skuteczne czynniki, jak skład zjazdu mężów zaufania z nominacji naczelnej magistratury partii, „Narodnego Sowietu", sztuczny entuzjazm wśród tych mężów, rozbudzony wytężoną propagandą i w końcu teror zorganizowanej bojówki. Ta ostatnia podczas dyskusji „zbombardowała" zgniłymi jajami (tradycyjny środek!) jednego z posłów, który inaczej niż „Narodnyj Sowiet" chciał wpływać na kształtowania się „woli ludu". W takich warunkach przeforsowanie potrzebnej dla „Narodnego Sowietu" rezolucji nie było rzeczą nader trudną. O tym „zwycięstwie idei" pisze „Haliczanin" (Nr 146 z 16.7.1907), że byłoby ono jeszcze świetniejsze, gdyby je nie zamącił „zbędny" incydent z jajami. Sama zresztą rezolucja zjazdu miała znaczenie tylko symboliczne. Nawet mimo tak murowanej pozycji na zjeździe swoich własnych (w pełnym tego słowa znaczeniu!) mężów zaufania, nie uważał „Nar. Sowiet" za stosowne poddawać pod głosowanie rezolucji o treści programowo - ideologicznej. Odpowiednią interpretację w kierunku uchwalonej rezolucji miała przeprowadzić dopiero propaganda i prasa. Uchwalona rezolucja wzywała trzech „opozycyjnych" wobec „Narodnego Sowietu" posłów staroruskich, żeby wystąpili ze wspólnego z Ukraińcami klubu parlamentarnego („Ruthenischer Klub") i połączyli się z dwoma posłami, którzy już z tego klubu wystąpili (dr Markow i dr Hlebowicki). Celem tej secesji było utworzenie odrębnego klubu parlamentarnego. Cel ten jednak nie został osiągnięty, gdyż jedyny z posłów „opozycyjnych", dr Kuryłowicz, okazał się tylko częściowo tej rezolucji powolnym: ze wspólnego „Ruthenen - Klubu" wprawdzie wystąpił, ale z dwoma oficjalnymi posłami się nie połączył i pozostał w parlamencie „dzikim". Do utworzenia więc odrębnego klubu *rosyjskiego* w parlamencie nie doszło.

W sprawie pozbawienia posła Markowa głosu w parlamencie zjazd wysłał telegramy protestacyjne do prezydium parlamentu w Wiedniu i do prezesa ministrów, dr Körbera. W depeszach tych zjazd reklamuje się jako: ...„Kongres mężów zaufania stronnictwa *rosyjsko* - narodowego we Lwowie („Russisch - nationale Partei") z dnia 15 lipca 1907 r., w którym ponad tysiąc mężów zaufania wszystkich stanów i zawodów udział wzięło..." — To miało dać główny dowód, że język rosyjski jest w kraju „landesüblich".

Znany działacz rusofilski, dr Wergun, który dawniej redagował w Wiedniu propagandowy miesięcznik w języku rosyjskim p.t. „Słowianskij Swiet" — w „Haliczaninie" (Nr 147 z 17.7.1907) pisał: „...Postanowieniem zjazdu mężów zaufania partii, aby trzej nasi posłowie, którzy znajdują się dziś w t. zw. „Ruthenen - Klubie", wystąpili zeń i przyłączyli się do dwóch młodszych naszych posłów, tworząc odrębny klub *rosyjski*, skończyliśmy na zawsze z *rusińśtwem* i wstępujemy w nową epokę odrodzenia naszej partii"...

Wobec takiego rozwoju wypadków, musiała się okazać nierealną i nie do utrzymania nowa teoria Hlebowickiego przyznająca Rusinom prawo do „samodzielnego bytowania narodowego". On też sam ją już wcześniej, jeszcze przed zjazdem mężów zaufania, porzucił i ekspiację swą wobec partii złożył w interpelacji poselskiej, wniesionej w sprawie odebrania głosu posłowi Markowowi. Znajdujemy tam następujące jego „credo", zaprzeczające zasadom niedawno głoszonej przez niego teorii... „Partia nasza stoi na stanowisku, że małoruskie plemię Galicji Wschodniej (kleinrussischer Volksstamm Ostgaliziens) to tylko nieznaczna część (Bruchteil) małoruskiego plemienia (des kleinrussischen Volksstammes) w Rosji i całego narodu *rosyjskiego* (und der gesammten *russischen* Nation). Wobec tego partia nasza uważa język russki, w którym wczoraj przemawiał Dr Markow, za potoczny (landesüblich) w Galicji od 1772 r., zatem więcej niż od 120 lat".... (Cytat z „Haliczanina" 147 z 17/7 1907 r.).

Dlaczego język ten miał być w b. Galicji, która nigdy nie była politycznie połączona z *Rosją* potocznym właśnie od 1772 r., czyli od czasu, gdy go dopiero tworzył w Rosji Łomonosow i jego następcy — to już zagadka „polityczna". Do takich samych zagadek należy też pojawienie się w antyrosyjskiej na ogół wiedeńskiej „Neue Freie Presse" inspirowanego artykułu o rosyjskim języku w Galicji, w którym to artykule znajdujemy również twierdzenie, że w Galicji „ogólnoruskiego" języka używano od końca XVIII wieku, tj. od rozbiorów Polski, ...bo w tym języku drukowali tam swoje prace uczeni, jak filozof i psycholog Piotr Łodij we Lwowie, historyk Bałudianskij, późniejszy wychowawca cara Aleksandra I oraz historyk Zubryckij..." Skąd autor wziął te dane i w jaki sposób wymienieni „uczeni" pasowani zostali na ojców narodu rosyjskiego w Galicji Wschodniej — *jest to tajemnicą nawet nie „N. F. Presse", lecz zakonspirowanych jaczejek petersburskich, zapobiegliwie przygotowujących marsz na Lwów i Karpaty — na długo przed rokiem 1914!*

Tak więc próba rozegnania kampanii o prawa obywatelskie dla języka rosyjskiego w Austrii na terenie wiedeńskim spaliła się na panewce. Zresztą nie był to nawet właściwy teren. Sprawy te, związane z terytorium kraju, tak czy owak musiałyby być rozstrzygnięte ostatecznie w kraju i walka o nie musiała prędzej czy później przerzucić się na teren Sejmu. Zupełna i nagła przegrana nieopatrznie podjętej na terenie parlamentu walki przyśpieszyła tylko to przerzucenie się jej na teren sejmowy.

Ostatecznym skrystalizowaniem i ustaleniem jako obowiązującego partię poglądu o narodowej tożsamości Rusinów galicyjskich z Rosjanami, zjazd mężów zaufania partii staroruskiej z dnia 15/7 1907 r. zakończył etap rozwoju myśli politycznej starorusinów, zainaugurowany deklaracją „Russkiej Rady" w 1899 r., proklamującą istnienie takiej tożsamości. Rozbudzone w ten sposób a nie mające żadnych widoków na zaspokojenie aspiracje polityczne musiały siłą faktu swego istnienia pchnąć partię na fale ryzykownej te-

zy nie tylko jedności kulturalnej i narodowej, ale także wspólnoty interesów rusińskiej ludności w b. Galicji z interesami narodu rosyjskiego i rzucić ją w wir hazardowej gry rusofilstwa politycznego, czyniąc z niej bierne narzędzie obcej potęgi.

Przegląd tych dziejów, gdy partia starouska była wygrywana jako czynnik na arenie polityki międzynarodowej, to już temat do specjalnego szkicu czy artykułu dziennikarskiego.

Lwów — Egipt — Warszawa

Ty ot mówisz: wszędzi nieporządki. Możу ono i tak, ali jedno mnie bardzo podoba si: ty popatrz si, jak u nas akuratni pociągi chodzo. Ja na tym znam si, bo już i sam w Kijowi służyłem na drodzy żelaznyj. To tam pociągi chodziły ot tak sobi; niebardzo. A tu u nas, żeli powiedziano bez pięciu siódma, to bez pięciu siódma i odchodzi. Prawda, ży on tylko odchodzi tak akuratni, a przychodzi bywa ży i z trzygodzinnym opóźnieniem, nu ali to już nie jego wina, tylko ży znaczy si albo mróz wzioł, albo śniegu nasypało na relsy, a oni tego wcale nie spodziewali si, albo w ogóli coś takiego.

Ot i teraz, jak ja wracałem zy Lwowa z tyj popularnyj pojazdki, to my takży spóźnili si na dwie godziny. Stali my na jakijś maleńkij stańcji, stali... Niektóra publika nawet wylazła i nazad spowrotem pojechała do Lwowa. Ali ja nie; bo czegoż ja będy jechać do Lwowa, żeli mnie trzeba jechać do Warszawy, ha?

Siedzy ja sobi na ławeczcy w tym coupé, a naprzeciwko mnie siedzi sobi jakiś panek, newirneńki taki, chudy, ali widać, ży jednostka kulturalna, bo czyta niepolsko jakoś gazetki. Pomilczeli my, pomilczeli, ali nareszci mnie obrzydło, bo jaż nie dorsz, żeby cały życi milczeć. Ja i mówi do niego:

— A przypraszam pana bardzo, co to pan czyta? Niemiecko gazetki? Lipiński Stanisław jestem.

— Bardzo mnie przyjemni, mówi on. Ja akurat takży Stanisław, tylko ży nazwisko u mnie inny: Brener. A czytam ja gazetki nie niemiecko, tylko angielsko.

— Nu, mówi ja jemu, ja i sam kulturo interesui si. Tylko ży jak oni, szelmy, tak pomalusieńko nas ciągno do naszyj stolicy, to ja zrobiłem si trochi głodny i myśli ja, ży trzeba by nam kogo przekąsić.

— Racja. Jak przekąsić, to przekąsić.

Nu dobrzy. Dostali my prowiźji, ja swojo, a on swojo. I mówi on do mnie taki słowa:

— Możу pan szanowny pozwoli orzeszka?

— Kogo? — pytam si ja jego.

— Orzecha.

Popatrzyłem si ja na niego jak na wariata i mówi:

— A na coż ja będę jeść orzecha?

— Dziwny pytani! — mówi ten Brener. A na coż ludzi w ogóli jedzo? Na to, żeby najiść si.

— Nu, mówi ja jemu, ja orzechi czasem jeść mogi, ali dopiro jak przedtem zjim coś twardszego; a tak to nie, dziękui.

— Jak si panu podoba, mówi ten Brener. Wzioł swoi orzechi, ji i mlekiem popija. A u mnie była ze sobo taka maleńka buteleczka alkoholu, to ja z nij wypiłem z kieliszek, ze dwa, i przekąsui buterbrody z szynko. A ten Brener raptem pyta si:

— Nu co? Smakui panu zdechlizna?

Ja nawet trochi obraziłem si i mówi:

— Jaka zdechlizna?

— A ot ta szynka.

— Po pierwszy nie zdechlizna, tylko świeża wędlina, a po drugi, żeliby mnie nie smakowała, to ja bym jo nie jadł.

— Winszui panu apetytu. Ja bym za nic w świeci żywego stworzenia nie jadł.

— A chibaż ta świnia żywa? Onaż nie ostryga, żeby ja jo żywo połykał.

— Nu to tym gorzyj, ży dla pańskiego apetytu musieli żywy stworzeni zabić.

— A to, ży pan za każdym oddechem zabija sto milionów mikrobów, to już nic nie szkodzi?

— Dziwny porównani! Mikrob jest taki niedorozwinięty, ży on sam nie wi, czy on roślina, czy zwirze. A świnia — stworzeni straszni inteligentny, za swoi postępki odpowiedzialny. Czasem nawet w cyrku występui, na dwóch łapach chodzi, uczciwo praco na kawałek chleba zarabia.

On sobi gada, a ja jim te szynki. A on znowu do mnie:

— A pan zna te niemiecki przysłowi, ży der Mensch ist was et isst?

— Nie, mówi ja jemu, nie znam. I chwała Bogu dla pana, ży ja niemiecki język słabo rozumim, bo żelibym ja rozumiał lepij, to możу by mnie przyszło si wypowiedzić panu jakiś niewygodny słowo, albo i ręcznie zrobić panu niekulturalno przykrość. A pan, znaczy si, wegetarianin?

— Rozumi si. Nu, ali ni ma nam o co kłócić si. Widać, ży pańskich reinkarnacyj było mało, dlatego pan i mówi i robi taki rzeczy. Pan od egipskich czasów wcielał si najwyżyj ze dwa razy, a ja ze trzydzieści.

Ja i mówi jemu najspokojnij:

— Żeliby pan mnie to rozpowiadał z rok temu nazad, to ja możу bym i powierzył. Ali teraz, jak ja naczytałem si naszych polskich filozofów, Trentowskiego Bronisława i tak dalij, to ja już na to nie nabiory si.

— Naiwny rzeczy pan mówi. Jaż nie przeczy, możу ten Trantowski i genialna jednostka, tylko ży wszystkiego rozumem chce dochodzić.

— A trzeba głupoto?

— Nie głopoto wcali, tylko duchowno intuićjo.

— A cóż ona takiego, ta sama duchowna intuićja?

— A to ona takiego, ży na przykład ja na pana popatrzy si, późnij zamkny oczy i od razu widzy wszystki pański inkarnaćji.

Uśmichnołem si ja ironiczni i mówi:

— Nu dobrzy, niech pan zamkni oczy i zobaczy mnie dwa tysiący lat temu nazad!

— Dobrzy, mówi ten Brener. Tylko niech pan nic nie odzywa si, żebym ja mógł skoncentrować si duchowni.

Posiedzieli my, pomilczeli, i raptem on mówi:

— Mgła... mgła... O! już coś widać. Egipt... Pan jest żono faraona.

— Ot tobi raz! — krzyknołem ja. Ja jak tylko słyszy, ży na świeci so taki świński zboczenia, to mnie już robi si nie-

dobrzy, a nie to żebym ja sam dobrowolni wychodził za mąż za mężczyzny!

— Nu masz tobi! — mówi ten Brener. Toż pan wtedy i sam był kobieto, a nie mężczyzno.

— Nu, żeli tak, to co innego. Nu i coż, jaka ja tam byłam? Ładniutka na popatrzeć?

— To już jak na czyj gust. Wiadomo: nie to żoli co żoli, tylko co si komu podoba. Mnie, prawdy powiedziałszy, nie bardzo podoba si. Mój ideał kobiecyj urody zupełni inny niż pan.

— Znaczy si, żeby bez wąsów i brody, czy co? — pytam si ja.

— Aliż nie w tym rzecz! I w ogóli trudno z panem dogadać si do sensu. Wi pan co, ja już lepij zobaczy pana trochi późnij, ot tak koło roku 1220.

— No dobrzy, mówi ja.

Zamknoł on znowu oczy i mówi:

— Mgła... mgła... Już! Pan tylko co urodził si w rodzini ubogiego rzemieślnika wy Franćji...

Ja znow uśmichnołem si, jeszcze gorzyj ironiczni, i mówi:

— A coż moja mamusia? Własno piersio ona mnie karmi, czy sosko?

Ten Brener nawet trochi rozzłościł si i odpowiada:

— A diabliż jo tam wiedzo! Nie wszystko panu jedno? Toż ili lat od tego czasu przeszło! I zreszto ja nie na nio patrzy si, tylko na pana. Żelibym je miał patrzyć si i na nio i na pańskiego tatusia, to pan musiałby mnie osobno zapłacić za nich po pięć złotych od nosa; a tak, to tylko za siebi.

— Jak to! — krzyczy ja. Jaki pięć złotych?

— A coż pan myślał, ży ja bezpłatni będy swoi duchowny siły psuć? I tego pan nie wi, ży mnie podczas tej wiźji okropny konwulśji trzęsły w środku?

— A ktoż panu kazał?

— Jak to, mówi on, kto mnie kazał? Toż pan sam obstalował! Żywy świni jeść to pan moży, a dług wdzięczności zapłacić to nie?

— Pani Stanisławi, mówi ja do niego bardzo grzeczni i spokojni! Ni ma na świecie takiego człowieka, któren by mógł powiedzieć, ży ja nie płacy swoich długów. Ali żeli ktoś próbui mnie niesprawiedliwi naciągnąć, to ja mogi, czego dobrego, publiczny spokój zakłócić.

Popatrzył si on na mnie i mówi:

— Nu a cztery złote da pan?

— Nie. Nic panu ode mni si nie należy. Ali za to, ży pana trzęsły konwulśji, to ja mogi panu dać dar z łaski pięćdziesiąt groszy.

Zamyślił si on chwilki i odpowiada:

— Cóż robić. Żeli pan znajdui si na takim niskim poziomi reinkarnaćji, to dawaj pan choć te pięćdziesiąt groszy. Ali za to niech pan przynamij rozda znajomym ot te moi bilety wizytowy.

A na tych biletach było napisany, ży on umi widzieć przeszłość, syansy robić i wszystko taki. Nu, jak ja jemu obiecałem, to ot na i tobi jeden taki bilet. Ali ty jego rzuć do pieca, bo to wszystko zawracani głowy. Jak tylko ja zobaczyłem, ży on ji te orzechi i mlekiem popija, od razu zrozumiałem, ży człowiek on niepoważny.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

„Motria"

W starannej szacie zewnętrznej, ukazała się (nakładem Tow. wyd. „Rój") powieść pisarza ukraińskiego *Bohdana Łepkiego* p. t. *„Motria"*, pierwsza część zapowiedzianej trylogii p.t. „Mazepa".

Bez wątpienia „Motria" jest jedną z najlepszych i najciekawszych powieści historycznych ostatnich lat. Zakrojona ambitnie, szeroko, mocno ugruntowana w swym podłożu historycznym, stanowi śmiałą próbę eposu narodowego, przeprowadzonego z punktu widzenia literacko-artystycznego, z dużą dozą opanowania rozległego i pasjonującego materiału i swoistą swadą narracji.

Nie ulega wątpliwości, że w powieściach typu historycznego największą trudność, a jednocześnie podstawowy problem, stanowi umiejętność pisarza stopienia w jednę *organiczną* całość elementów historycznych z literacko-artystycznymi, zdolność „zrównoważenia" ich, wyczucia wzajemnego warunkowania się, wzajemnej ich gry. I trzeba przyznać, że tę podstawową trudność pokonał Łepki w całej rozciągłości, z próby tej wyszedł zwycięsko. Elementy historyczne występują w powieści w imponującej ilości, pod postacią najrozmaitszych fragmentów, czy transpozycyj dokumentów archiwalnych, pamiętników, listów, dziesiątek anegdot, ustawicznie napotykanych przysłów, czy „powiedzonek" swego czasu, dobytych, jak sądzić można, jako owoc długich i wyczerpujących studiów i szperań. Z drugiej jednak strony, użyte przez autora w konstrukcji artystycznej dzieła, celowo i organicznie wplecione w tok akcji, narracji, elementy te zatraciły swój archiwalny charakter, suchość, nabrały rumieńców życia, jego bogactwa, pełni. Wielość wspomnianych momentów ściśle historycznych nie tylko nadaje charakterystyczną cechę tym fragmentom, w których użyte zostały, ale stwarza też ogólną atmosferę, co ważne, *jednolitą* w charakterze, a więc przekonywującą.

Wykładnikiem tego zrównoważenia dwutorowości podstawowych elementów dzieła stał się jego styl, język, kojarzący szczęśliwe walory tradycyjne ze współczesnymi, co przyczynia się do jego jasności i wyrazistości, nadając mu z drugiej strony artystyczną, bo umiarkowaną, raczej *pośrednio* wypływającą patynę, „aurę" swoistą dobrej powieści historycznej.

Chociaż utwór B. Łepkiego rozpięty jest na paru prawie że równoważnych „osiach", można jednak powiedzieć, że sprowadzają się one do jednego, zasadniczego problemu narodu ukraińskiego, głównego — ostatecznie — bohatera dzieła. Problemem tym jest walka Ukrainy o wolność, zagadnienie zawierające w sobie wprost „automatycznie" kwestię wtórną, stosunku do Moskwy. Tak myśli indywidualny bohater powieści — hetman Mazepa, tak myśli też bohater jej „powszechny" — naród ukraiński, acz niejednolity i szarpany wewnętrznymi walkami. Mazepa i grupa jego najbliższych, doskonale zdają sobie sprawę, że walka o wyzwolenie Ukrainy — to uderzenie w Rosję, przy czym nienawiść ich, czysto narodowa, związana jest z uczuciem pogardy i obawy przed Moskwą, ukazaną przez autora w pełni jej azjatyckiego barbarzyństwa. Być może nie jest tylko kwestią przypadku, że w Rosji Piotra I-go odnajdujemy uderzające ana-

logie do Rosji Stalina. Upływ kilku wieków historii Rosji ukazał powierzchowność różnic dzielących te dwie jej epoki, a dogłębność, *istotność*, powiedzieć można *ciągłość* treści jej, tej treści *tożsamość*. Tu i tam bezgraniczny, krwawy despotyzm jednostki, skuwający naród straszliwymi uderzeniami bata w jednolitą (mechanicznie!), zautomatyzowaną masę, biurokratyczno-sołdacką machinę, tu i tam gwałtowne „europeizowanie" na rozkaz, prymitywne i powierzchowne, czy też „industrializacja", zapatrzenie w mechaniczny mit (raczej fetysz) „Dnieprostrojów" XVIII czy XX wieku, budowanych kosztem śmierci tysięcznych mas ludzkich, żywcem wdeptywanych w ziemię. Tu i tam wreszcie bezapelacyjna negacja twórczej indywidualności we wszelkich jej przejawach.

Temu zorganizowanemu barbarzyństwu przeciwstawia Łepki postać hetmana Mazepy, światłego humanisty, męża o europejskim „oddechu", wszelkimi środkami dążącego do odparcia straszliwego ciśnienia bezmyślnej machiny rosyjskiej, z drugiej zaś strony pragnącego naród swój dźwignąć kulturalnie i zespolić wewnętrznie, w poczuciu grożącego niebezpieczeństwa.

I narodowi temu, swemu narodowi — nie szczędzi Łepki gorzkich słów, piętnując częstą dezorientację jego, powodowanie się nieszczęsnymi „prywatami", brak zrozumienia i odczucia wagi i wymogów momentu historycznego. Bezlitośnie obnaża i podkreśla te wady, za jakie naród każdy w historii swej — wolnością płaci.

Tu drugie zasadnicze wiązanie powieści: naród i jego hetman, skomplikowane artystycznie i silnie podkreślone uczuciowo dramatyczną miłością hetmana Mazepy do Motrii, córki wrogiego poczynaniom hetmana, potężnego rodu Koczubejów. Można tu wysunąć zastrzeżenia co do formalnej strony powieści (historycznej!), że ukazując (doskonale i konsekwentnie) postać hetmana, nie ukazała nam bezpośrednio drugiego, niezbędnego ogniwa wiązania tego — narodu, pojętego jako masa, narodu — w całej jego *żywiołowości* Dowiadujemy się o nim raczej pośrednio, z relacji poszczególnych osób dzieła. Być może jednak, że w dalszych tomach trylogii masa ta wystąpi i bezpośrednio, a wtedy ten zarzut natury formalno-artystycznej okaże się zamierzonym, szczęśliwym chwytem, wprowadzającym nas, zaraz na początku dzieła, w centrum splotu zagadnień drogą raczej „kameralną", do celu tego sposobniejszą.

Powieść B. Łepkiego zasługuje na żywe zainteresowanie, jako śmiała, szczęśliwie realizowana próba stworzenia prozatorskiego eposu narodu ukraińskiego w jednym z najciekawszych momentów jego historii. Czy uda się autorowi epos ten zrealizować — trudno z całą pewnością przewidzieć. „Motria", pierwszy tom trylogii, pozwala spodziewać się po nim bardzo wiele. Konstrukcyjnie jest przeprowadzona z należytym umiarem i w całości „wytrzymana". Może dialogi miejscami są nieco zbyt obszerne i trochę za dużo w nich zostało dopowiedziane *bezpośrednio*. Sytuacje w tradycyjnym raczej toku narracji umieszczone są celowo i trafnie, charaktery przeprowadzone konsekwentnie. Całość powieści barwna, przekonywująca, „biorąca". *Mirosław Starost*

VARIA

Przemówienie Premiera gen. Sławoj - Składkowskiego w sprawie polityki mniejszościowej

Dnia 24.I na Komisji budżetowej Sejmu pan Premier gen. Sławoj - Składkowski m. innymi oświadczył:

„Naród polski winien w sobie wzbudzić wysoką świadomość, że od jego stosunku do mniejszości narodowych zależą w znacznym stopniu losy Polski.

Naród polski powinien uważać, by w jego zewnętrznych przejawach do mniejszości stosunek był zawsze godny tradycji i godny wielkiego ducha tego narodu. (Głosy: słusznie). Dlatego wszelkiego rodzaju objawy nienawiści, czy zniecierpliwienia ze strony narodu polskiego do mniejszości uważam za ciężki błąd, który wcześniej czy później na Polsce zemścić się musi. (Głosy. Bardzo słusznie). Uważam, że niegodne jest narodu polskiego, jako większości narodowej, świadomej swej roli w państwie, wszelkiego rodzaju nie dające się pomieścić w porządku prawnym nawoływania do zgniecenia, lub utrudnienia życia mniejszości, bo przecież musimy żyć razem i wszelkiego rodzaju nawoływania i odruchy niecierpliwości zemszczą się na współżyciu, na zwartości Polski. Tak samo błędem jest domaganie się specjalnych praw dla większości narodowej polskiej, bo przecież dowodzi to braku zaufania we własne siły. To jest błąd kardynalny, który musi się zemścić na psychice narodu".

Na temat stosunku mniejszości do Państwa, p. Premier powiedział co następuje:

„Teraz przejdę do tego, jak powinna ustosunkować się mniejszość do państwa, w którym istnieje. Mniejszość powinna zachowywać się wobec państwa lojalnie, ale — jak to wyjaśnił już dziś doskonale p. referent — to nie może być lojalność bierna, to nie może być lojalność formalna. Nie, mniejszość, jeżeli jest traktowana lojalnie przez większość i przez rząd, a więc ma swoje prawa — powinna mieć głębokie poczucie swoich obowiązków. Powinna zachowywać się w ten sposób, żeby lojalność jej szła — tak samo, jak lojalność większości — do wzmocnienia potęgi i siły państwa, z którym jest związana. To jest obowiązek lojalności dla mniejszości, który jest warunkiem, że ta mniejszość wtedy jest pełnoprawnymi obywatelami. Jeżeli mniejszość sama spycha się do roli obywateli lojalnych tylko z punktu widzenia czysto formalnego, to sama spycha się na niższy stopień — na stopień obywateli mniej pożytecznych, a więc mniej pożądanych dla państwa.

Wtedy powstają dwa rodzaje obywateli w państwie — powstają niechęci i konflikty, które zaczynają rozsadzać państwo".

Pod adresem ukraińskim p. Premier oświadczył, co następuje:

„Po tym wstępie zwrócę się naprzód do kolegów posłów Ukraińców. Ponieważ ciągle słyszę utyskiwania, że ludność ukraińska znajduje się w sytuacji złej — jako szef rządu, nie z samego poczucia miłości bliźniego, ale z poczucia potrzeb państwa, muszę stwierdzić, że wolę Ukraińca zamożnego, sytego i zrównoważonego, niż głodnego, źle zaopatrzonego i niechętnego dla państwa. To jest tak proste i jasne, że każdy zrozumieć to musi od pierwszego wejrzenia. Rozumiem bowiem, że sprawy narodowościowe są sprawami czysto ludzkimi i nigdy w rodzinie nie zbuduje się dobrej sprawy drogą nienawiści, drogą zazdrości i wyrywania sobie wzajemnie dobra rodzinnego. Tylko zrównoważenie, tylko przeświadczenie, że każdy żyć musi, tylko poczucie równości potrzeb może

stworzyć w państwie o ludności mieszanej harmonię i zapewnić życie temu państwu. Jednak muszę tutaj powiedzieć, że bardzo niebezpieczną rzeczą jest, jeżeli mniejszość objawia zbytnie zniecierpliwienie w dążeniu do swoich praw. Albowiem wtedy powstaje nieufność między większością i mniejszością. Patrząc w oczy panom kolegom Ukraińcom, mogę powiedzieć, że w tej chwili naród ukraiński nie ma podstaw do niecierpliwości.

Stwierdzam, że za czasów współżycia z Polską naród ukraiński rozwija się kulturalnie szybko. Rozwija się również gospodarczo w ten sposób, że daj Boże, by w całej Polsce ludność tak się rozwijała gospodarczo, jak się rozwija w części Małopolski. Dlatego uważam, że niebezpieczeństwo jest, jeżeli naród ukraiński ulega uroszczeniom przyśpieszenia w sposób gorączkowy swego rozwoju i prostowania tego, co w ciągu wieków zostało pokrzywione.

Wezmę takie pierwsze uroszczenie — to jest ulubione tutaj przedstawienie przez panów kolegów Ukraińców — że cenzura do wydawnictw inaczej jest stosowana w Małopolsce, a inaczej na Wołyniu. Nazywam to z całym poczuciem tego słowa „uroszczeniem", dlatego, że w Małopolsce jest bardzo dużo Ukraińców, skrajnych nacjonalistów, z którymi panowie też macie masę trudności, tak samo jak i my. Obowiązkiem rządu jest niedopuścić na Wołyń skrajnych nacjonalistów Ukraińców. To nie jest dzielenie narodu ukraińskiego, jak powiedział pos. Celewicz, bo panu zaręczam, że tak samo robię z ludnością polską. Tak samo nie pozwalam na innych terenach kresowych pisać tych rzeczy, które można doskonale pisać w Warszawie, dlatego, że to na tym terenie wywołuje inny skutek. To działanie i to różnicowanie jest celowe i uczciwe wobec narodu ukraińskiego, gdyż jest tylko zwalczaniem nadmiernie wojującego nacjonalizmu, który tak samo, jak każdy przesadny nacjonalizm, jest szkodliwy".

Z prasy polskiej

„Na froncie ukraińskim". „Dziennik Poznański" (1.II) zamieszcza pod powyższym tytułem artykuł Adama Nechaya. Autor, dobrze orientujący się w zawiłych wewnętrznych sprawach ukraińskich, omawia rezultaty partyjnego zjazdu UNDO.

„Uchwały te (zjazdowe — Red.) obwiniają stronę polską o niedotrzymanie warunków i wysuwają postulaty, bardzo bliskie już maksymalnego programu"...

W dalszym ciągu swoich wywodów autor słusznie pisze:

„Choć to brzmi trochę ryzykownie, choć zdawałoby się — rozbicie polityczne Ukraińców leży w interesie polskim, występuje także i pogląd odmienny: że jeśli ma być prowadzona odpowiedzialna i na długą falę polityka polska wobec Ukraińców, jest lepiej, gdy mówi się z rzeczywistą reprezentacją, niż z fikcjami, i z jedną upełnomocnioną reprezentacją, niż z mozaiką wzajemnie gryzących się i licytujących sił. Tę samą opinię wyraziła publicystyka ukraińska odnośnie do strony polskiej. Oceniając powstanie OZN raczej przyjaźnie, podkreśliła to właśnie, że wreszcie znajdzie się ktoś, z kim można będzie stanąć na twardym gruncie".

W ten sposób, dla autora nie jest straszne hasło konsolidacji ukraińskiej. Znając jednak sprawy ukraińskie, stwierdza on:

„Inna sprawa, że konsolidacja ukraińska jest zadaniem trudnym i dalekim. Choć nie ma tu tych głównych przeszkód, z jakimi walczyć musi akcja OZN, są za to inne ciernie i głazy, po części ideologiczne, a jeszcze bardziej personalne".

Ogólny wniosek autora jest taki:

„Jak zjazd UNDO nie wyjaśnił położenia na odcinku polsko-ukraińskim, tak dyskusja sejmowa nad naszą polityką narodowościową nie rzuciła na ten odcinek nowego światła. Obok niejednej prawdy słusznej i pięknej, obok świadomości, że w tej dziedzinie polityki dalecy jesteśmy od ładu i składu, w dalszym ciągu zagadnieniu temu brak ujęcia syntetycznego, brak szerszej historycznej perspektywy. Dla posłów z tych ziem na planie pierwszym są lokalne epizody, są wąskie kryteria konstytucyjno-prawne, natomiast znacznie trudniej o ogarnięcie związków, łączących chociażby sprawy tak odległe, jak konflikt na Dalekim Wschodzie i problem ukraiński. Publicystyka ukraińska związki te śledzi z napiętą uwagą; u nas podkreśla je jedynie szczupła grupa ukrainoznawcza, depopularyzowana zresztą marką ukrainofilstwa".

Przegląd prasy ukraińskiej

„Ukraińska dyskusja w polskim Sejmie". „Diło" (27.I) w artykule pod powyższym tytułem pisze:

„Od szesnastu lat corocznie na budżetowej sesji Sejmu, na budżetowej komisji i na plenum odbywa się dyskusja na ukraińskie tematy, równo dziesięć lat biorą już w tej dyskusji i parlamentarni przedstawiciele z Galicji Wschodniej".

Gdyby znalazł się amator i zebrał wszystkie przemówienia na temat ukraiński w Sejmie — byłaby to bardzo ciekawa książka. Były już wygłaszane w tym przedmiocie różne teorie, różne poglądy — dużo w tym było plew, były i ziarna prawdy. Zatem dyskusje sejmowe na temat ukraiński zawsze miały „charakter przemieszanego z plewami ziarna". Ponadto zawsze mają „platoniczny charakter" i są „beznadziejne".

„Ten moment beznadziejności stanowi największy ciężar, który przytłacza wszelką informacyjną pracę na polskim terenie. To ten straszny psychologiczny moment, który osłabia też walkę i na polskim terenie parlamentarnym. Oczywiście, pamiętamy łacińskie przysłowie, które mówi, że kropla kruszy skałę, ale jest też przysłowie o grochu rzucanym o ścianę".

Polemizując następnie z premierem na temat nacjonalizmu halickiego, „Diło" pisze:

„...My, Ukraińcy haliccy, nie możemy się nadziwić temu, czy p. premierowi rzeczywiście nie jest wiadomo, że dziś nacjonalizm ukraiński na Wołyniu bodaj czy nie jest większy niż w Galicji?! Radzimy p. premierowi kazać dostarczyć sobie wykaz procesów politycznych na Wołyniu za okres ostatnich trzech — czterech lat i sprawdzić charakter tamtejszego komunizmu, który jest typowym komunizmem narodowym, zrodzonym na gruncie narodowej radykalizacji nastrojów. I czy zawsze jeszcze trzeba przekonywać ludzi, że „mur" pomiędzy jednym a drugim województwem jest prawdziwym złudzeniem, o ile chodzi o oscylację prądów ideologicznych i że nie administracyjne represje, lecz zmiana polityki narodowościowej, przede wszystkim kulturalno - gospodarczej — będzie lekiem na ekskluzywny nacjonalizm ukraiński, bez względu na teren, gdzie ten nacjonalizm najpierw się narodzi?"

Organ ukraiński zarzuca ponadto, że p. premier gen. Składkowski „nic konkretnego nie powiedział, nie dał zapewnienia co do żadnej sprawy, która w nas uderza i boli, a zamiast takiego zapewnienia — wyraził pogląd, że „naród ukraiński nie ma podstaw do niecierpliwości"!

Pewnych zdobyczy życia ukraińskiego w Polsce, zdaniem „Diła", „nie można zaliczyć na plus polskiej oficjalnej polityki narodowościowej. Te słowa p. premiera nie mogą nas zadowolić. Myśmy już tyle słyszeli przeróżnych — dobrych i złych — słów — że pragniemy nie słów, lecz czynów. Tylko czynów".

O całości dyskusji budżetowej na tematy ukraińskie „Diło" się wyraża w ten sposób:

„Są to słowa, które nie robią wrażenia, aby za nimi poszły czyny: na tym właśnie polega cały sens tej dyskusji".

„Sowiecki parlament zaczyna urzędować". „Diło" (29.I) zamieszcza interesujący artykuł na temat nowego parlamentu sowieckiego (art. „A może się poszczęści nastraszyć?! Sowiecki parlament zaczyna urzędować"). Autor daje świetną charakterystykę sowieckich izb parlamentarnych, naśladujących nieudolnie wzory zachodnio - europejskie, w końcu zauważa:

„Niedobrze tylko, że w nowym parlamencie na pierwszym posiedzeniu wypadło udzielić pełnomocnictw Prezydium Izby Naczelnej do zaprowadzenia stanu wyjątkowego w Z. S. S. R. nie tylko w interesach obrony wojskowej, ale i celem utrzymania porządku i bezpieczeństwa w państwie. Zbyt świeże są jeszcze wspomnienia o białej Rosji, która „pękła" pomimo istnienia wszelkich wewnętrznych „ochranek" i zaprowadzenia stanu wyjątkowego".

Czyniąc aluzje na temat potęgi Z. S. S. R. i tupetu zależnych od Stalina „parlamentarzystów" sowieckich, autor zauważa:

„Nie wszystko to jest straszne, co za takie pragnie uchodzić".

Ukraińcy z Chełmszczyzny emigrują. „Diło" (Nr 20, art. „Chełmszczyzna wyludnia się. Masowa emigracja ukraińskiego elementu do Argentyny") pisze:

„Od kilku miesięcy można spostrzec wśród ukraińskiej ludności wszystkich powiatów Chełmszczyzny masowy ruch emigracyjny. Tysiące ludzi wybiera się do Argentyny i innych państw południowo-amerykańskich. Organizację emigracji przeprowadza warszawski syndykat emigracyjny".

Paradoksalnym zjawiskiem tej ruchawki jest fakt, że emigrują najzamożniejsi gospodarze - chłopi.

„Pewne światło na tę sprawę rzuca fakt, że największą ilość kandydatów na wyjazd dają tereny znanych wypadków w Żukowie (gminy Miączyn, Czeszyn, Grabowiec), przy czym z tych okolic ucieka dosłownie cały element ukraiński, często oddając ziemię w ręce obce".

„UNDO i WUO i ich stosunki". „Wołynśke Słowo", dotknięte uchwałami Kongresu UNDO, porusza zarzuty UNDO i „Diła" pod adresem WUO i Ukraińców wołyńskich. W sprawie t. zw. kordonu sokalskiego „W. Sł." pisze:

„W odrodzonej Polsce dzieje wspólnego życia (d. Galicji Wschodniej i Wołynia, Red.) popłynęły różnymi drogami. Haliccy Ukraińcy całkowicie weszli w sferę swoich własnych interesów, odgraniczając się chińskim murem od Polaków, wołyńscy Ukrińscy przeciwnie — od razu wyjawili życzenie nawiązania stosunków ze społeczeństwem polskim, przy czym do samej Polski odnieśli się przychylnie. W dalszym ciągu ośrodki polityczne we Lwowie usiłowały wciągnąć Wołyń w orbitę swoich wpływów, lecz czyniły to nieumiejętnie, demagogicznie, odtrącająco, dlatego zdobyły sobie bardzo mało zwolenników. Nie Wołyń szukał sobie kierownictwa politycznego, lecz same halickie ośrodki polityczne za wszelką cenę pragnęły narzucić jemu swoją wolę i podporządkować swoim interesom partyjnym".

Polityka ukraińska na rozdrożu

Pod tym tytułem ukazały się w żydowskim „*Momencie*" (Warszawa) uwagi b. posła syjonistycznego, dra *H. Rosmarina* ze Lwowa, na temat ostatniego kongresu U. N. D. O. Polityk żydowski pisze m. in.:

„...Szykowało się na wielką burzę, a skończyło się na idealnej ciszy... Jeśli opozycjoniści w ostatniej chwili cofnęli się nieco i nie zdecydowali się na „ostatni, decydujący bój" z obecnym kierownictwem i jego polityką — należy to przypisać międzynarodowej sytuacji politycznej w ogóle, a jej wpływowi na odcinek mniejszościowy w szczególności. Wypłynięcie kwestii traktatów o ochronie mniejszości, zawikłania w Lidze Narodów i wokół niej na tym odcinku, wreszcie poważnie zagrożona sytuacja samej Ligi Narodów — wszystko to są rzeczy, które muszą wywrzeć wrażenie na zwolennikach samodzielnej polityki mniejszościowej. To — wydaje się nam — wpłynęło na opozycję ukraińską i wstrzymało ją od ostatniego, decydującego kroku, który już szykowała się poczynić. Dlatego opozycja zgodziła się na wyjście kompromisowe, reprezentowane przez obecne kierownictwo, także dalekie od entuzjazmowania się rezultatami „ugody". Chce się poczynić jeszcze jedną próbę w tej dziedzinie. Do polityki ugodowej kierownictwa ukraińskiego ma być wprowadzony ostrzejszy i bardziej zdecydowany ton, ale sama polityka ma być *tymczasem* utrzymana; innymi słowy oznacza to: nie wypowiedzieć odrazu „ugody", ale zagrozić wypowiedzeniem.

Sama organizacja U. N. D. O. wyszła może z ostatniego zjazdu bardziej mocna i skonsolidowana: usunięto wysokie bariery, oddzielające opozycjonistów od polityków realnych, nastąpiło zbliżenie i jedność. Nie można jednak tego samego powiedzieć o linii politycznej Ukraińców, która o tyle o ile została zaakceptowana przez zjazd, nosi charakter *tymczasowości.*

Tak więc polityka ukraińska w Polsce znajduje się na rozdrożu."

Z terenów ZSSR

„Vivat wielki naród rosyjski!" Działo się się niedawno w Jekatierinburgu. Podczas tzw. kampanii przedwyborczej, jeden ze starych nauczycieli miejscowych, Smorodin, nawołując na wiecu, aby „wszyscy oddali głos za orłów i orląt partii Lenina-Stalina", dodał na zakończenie: „Niech żyje szczęśliwy naród rosyjski!".

Nastąpiła pewna konsternacja. Sprawa jest tego rodzaju, że kurs „nacjonalizacji" w sowieckim państwie komunistycznym idzie w tak szturmowym tempie, że prowincja sowiecka (tym bardziej takie dalekie okręgi jak zauralskie) wprost nie może nadążyć. Przecież stosunkowo niedawno jeszcze coś się mówiło o „leninowskim rozwiązaniu kwestii narodowościowej", o „wolności narodów sowieckich", o „szowinizmie wielkomocarstwowym" itd.

Toteż miejscowe organy spraw wewnętrznych (G. P. U.) uznały hasło wygłoszone przez nauczyciela Smorodina za „kontrrewolucyjne". Co więcej, Smorodin został pociągnięty do odpowiedzialności, jako „wróg", za „przejawienie zakazanego przez prawodawstwo socjalistyczne szowinizmu wielkomocarstwowego".

O, naiwna prowincjo!

Jednak już okręgowa centrala Związku Neuczycielstwa Sowieckiego poczuła, że z tą kontrrewolucyjnością tow. Smorodina sprawa nie jest tak prosta, jak się zdawało władzom „terenowym". Zwróciła się więc centrala okręgowa po wskazówki aż do rządu moskiewskiego.

I wtedy nastąpiło coś, co przypomina ostatni akt hoholowskiego „Rewizora". Otóż z Moskwy pod adresem jekaterinburskich organizacji partyjnych i oddziałów G. P. U. przyszło „razjasnienije", w którym napisano dosłownie, że tylko „zwyrodnialcy, kretyni i wrogowie ludu" („Prawda" 19.I) mogli uznać patriotyczne hasło tow. Smorodina za kontrrewolucyjne. Jednocześnie zaś prokuratura jekaterynburska otrzymała polecenie „pociągnięcia winnych (tych, co to hasło Smorodina uznali za kontrrewolucyjne) do surowej odpowiedzialności".

Można sobie wyobrazić miny i uczucia jekaterynburskich „gorodniczych" i „dierżimord", którzy nie potrafili sprostać tempu „nacjonalizacji" sowieckiej.

Nowy „tymczasowy” wielkorządca Ukrainy. Dnia 19 stycznia na wspólnym posiedzeniu obu „izb” sowieckich, po odbytej komedii podania się do dymisji „gabinetu” Mołotowa, został zamianowany „nowy” rząd z tym samym Mołotowym na czele.

Na liście nowego „gabinetu” znajdujemy oprócz brata Łazarza Kaganowicza — „Michała” (komisarz przemysłu wojskowego) — także Stanisława Kosjora, którego tytuł brzmi: zastępca Przewodniczącego Rady Komisarzy oraz Prezes Najwyższej Kontroli Państwa.

A więc ostatni wielkorządca Ukrainy (który de facto był nim już od dawna) obecnie został przeniesiony do centrali moskiewskiej i, jak widać ze wszysktiego, zaczyna robić wielką karierę. [Nie jesst rzeczą wykluczoną, że kariera ostrzem swym będzie — w konsekwencji — skierowana przeciwko obecnie jeszcze wszechmogącemu, lecz już „niemodnemu” Jeżowowi].

W związku z rozpoczętą w ten sposób karierą Kosjora, „osierocony” Komitet Centralny Kom. Partii (b). Ukrainy na swym posiedzeniu dn. 27 stycznia

> zwolnił tow. Kosjora St. W. z obowiązków I Sekretarza i członka C. K. KP (b) U oraz obrał na pełniącego obowiązki I sekretarza C. K. KP (b) U tow. Chruszczowa N. S. („Komunist” Nr 28 dn. 29.I)

Bliższe dane o tym rdzennym Moskalu podamy w najbliższym numerze.

Ze świata i z kraju

Ś. P. WŁODZIMIERZ TEMNYCKI.

Dnia 26 stycznia b. r. zmarł w 58-ym roku życia wybitny działacz Ukraińskiej Partii Socjal-Demokratycznej, b. minister spraw zagranicznych Ukraińskiej Republiki Narodowej, Włodzimierz Temnycki. Urodzony w r. 1879, ś. p. Temnycki od młodych lat poświęcił się działalności społecznej i politycznej i odegrał wybitną rolę w organizacji przedwojennej socjal-demokracji ukraińskiej na terenie Galicji Wschodniej. Podczas wojny był członkiem Naczelnej Rady Ukraińskiej i szefostwa bojowego Ukraińskich Strzelców Siczowych. W okresie ruchu wyzwoleńczego był w gabinecie Martosa ministrem spraw zagranicznych. Po powrocie do kraju w roku 1922 poświęca się wyłącznie działalności partyjnej. Dwukrotnie kandyduje do Sejmu, lecz bez powodzenia. Zmarły cieszył się wielkim szacunkiem całego społeczeństwa ukraińskiego bez różnicy przekonań politycznych.

ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI UKRAIŃSKIEJ.

Prasa ukraińska wszystkich kierunków politycznych poświęca rocznicy ogłoszenia niepodległości ukraińskiej — 22 stycznia 1918 r. — wiele miejsca. Ton artykułów — budujący, optymistyczny.

W kraju i zagranicą — na Zachodzie, z okazji 20 lecia ogłoszenia niepodległości Ukrainy, odbyły się uroczyste nabożeństwa, akademie i obchody.

Wzorem lat ubiegłych ukraińska kolonia w Warszawie urządziła w dniu 30.I Akademię w sali T-wa Higienicznego przy ul. Karowej. Akademię zagaił krótkim silnym przemówieniem dr P. Szkurat, po czym znany chór narodowy im. Łysenki pod dyr. S. Sołohuba odśpiewał pieśń „Boże wełykyj”. Wspaniały był referat p. Hliba Łazarewskiego. Kilka patriotycznych pieśni ukraińskich w dobrym wykonaniu chóru im. Łysenki oraz świetna deklamacja p. Natalii Doroszenkowej uzupełniły istotnie piękną uroczystość ukraińską.

Można z całym obiektywizmem stwierdzić, że ostatnia Akademia ukraińska w Warszawie należy do najbardziej udanych tego rodzaju imprez ukraińskich w stolicy.

Sala była zapełniona przedstawicielami społeczeństwa ukraińskiego i polskiego świata politycznego, naukowego i literackiego, widać było sporo wojskowych i przedstawicieli narodów uciemiężonych przez Rosję.

KOMITET CENTRALNY UNDO.

Dnia 29.I odbyło się drugie posiedzenie nowo - obranego Komitetu Centralnego UNDO, na którym doszło do ostatecznego ukonstytuowania się egzekutywy tej partii.

Prezesem UNDO już na poprzednim posiedzeniu został obrany wicemarszałek W. Mudryj. Obecnie obrano zastępców prezesa, którymi zostali: pos. W. Celewicz, senator inż. Jul. Pawlikowski, ks. prałat L. Kunicki i pos. dr St. Witwicki. Sekretarzem generalnym został adwokat dr Franciszek Swistel.

Do zarządu weszli: posłowie — dr St. Bilak, D. Wełykanowicz, W. Kuźmowicz, Z. Pełeński i senator O. Łucki, oraz dr M. Wołoszyn, Eugenia i dr Lubomir Makaruszkowie, dr Al. Marytczak i inż. M. Tworydło.

W ten sposób większe zmiany w składzie egzekutywy partii UNDO nie zaszły, jeżeli nie liczyć zmiany na stanowisku generalnego sekretarza partii, którym w ciągu szeregu lat był poseł W. Celewicz.

„MINISTER RZĄDU PETLURY”.

Prasa brukowa, a za nią część endeckiej podała sensacyjną wiadomość o zaaresztowaniu w Sosnowcu niejakiego Omelana Kozija, b. płatniczego rzeźni na Bałukach w Łodzi za defraudację. Kozij, czując że się mu ziemia pali pod nogami, uciekł z Łodzi i przez dłuższy czas ukrywał się, ścigany przez władze sądowo-śledcze. Obecnie został schwytany i poniesie karę. Dotąd — zwykła kronika kryminalna. Ale prasa brukowa istnieje nie darmo. Podkreślając, że Kozij jest Rusinem — z małego urzędniczyny zrobiła ni mniej, ni więcej, tylko... „Ministra Rządu Petlury”.

Mamy uzasadnione ambicje znać dobrze dzieje ukraińskie, w szczególności — okres rządów Wodza ukraińskiego Symona Petlury. Stwierdzamy więc kategorycznie, że ministra Rządów Ukrainy narodowej o nazwisku Kozij nigdy nie było. Nie był też i schwytany defraudant żadnym ministrem lub wyższym urzędnikiem ukraińskim.

Według zebranych przez nas informacyj defraudant Koziej był jakiś czas niższym funkcjonariuszem austriackim, potem takimże niższym funkcjonariuszem przy ukraińskim komisariacie Skoropysa - Jołtuchowskiego w Brześciu nad Bugiem. Następnie w bardzo niewyraźnej roli aferzysta ten rozjeżdżał po Wołyniu i wreszcie znikł z widnokręgu na terenie Kresów.

Z jakiej więc racji z Kozija robi się „ministra rządu Petlury"? Pomijając niesmak tej sensacji i rażącą ignorancję, widzimy w tym grubą tendencję zohydzania ukraińskości i poniżania w szerokiej opinii polskiej ukraińskiego ruchu niepodległościowego.

Tymi tytułami „ministrów ukraińskich" zbyt hojno szafuje się w prasie brukowej i niebrukowej. Czas z tym skończyć!

„JEDNIŚT".

W m. Brno (Czechosłowacja) zaczęło ukazywać się nowe czasopismo ukraińsko-niepodległościowe p. t. „Jedniśt" — na prawach rękopisu. Redaktorem czasopisma jest wychodźca z Podlasia, T. Moniuk. Czasopismo „Jedniśt" jest wzruszającym dowodem poświęcenia się dla sprawy narodowej garstki Ukraińców przebywających na obczyźnie.

Otrzymujących „Biuletyn Polsko-Ukr." z tytułu ich stanowiska społecznego czy oficjalnego, upraszamy o wpłacanie prenumeraty

WARUNKI PRENUMERATY: W kraju: rocznie zł. 8, półrocznie zł. 4.50, kwartalnie zł. 2.50, miesięcznie zł. 1
Zagranicą: rocznie zł. 16, półrocznie zł. 9, kwartalnie zł. 5, miesięcznie zł. 2. Cena numeru pojedyńczego 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Nowy Świat 66 m. 13. Telefon 234-60. Konto P.K.O. 26.842.

Redaktor i Wydawca: **Włodzimierz Bączkowski.**

NALEŻNOŚĆ POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ. *Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40*